



Droga bez powrotu

Albert Wojt

Albert Wojt

DROGA BEZ POWROTU

Kryminał z myszką – Tom 23

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67296-86-1

Copyright © Wojciech Sadrakuła

Tekst: Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1985

Nakład pierwszego wydania: 200 000 + 170 egz.

I

Oslona judasza szczęknęła metalicznie. Więźniowie, jak na komendę, odwrócili się w stronę żelaznych drzwi i stojąc na baczność zastygli w bezruchu. W celi przez dłuższą chwilę panowała kompletna cisza. W końcu judasz zgrzytnął ponownie i na korytarzu ciężko zadudniły kroki oddalającego się strażnika. Któryś z więźniów odetchnął z wyraźną ulgą, inny bluznął wulgarnym przekleństwem. Napięcie wywołane nieoczekiwaną wizytą funkcjonariusza służby więziennej ustąpiło bez śladu i tylko drobny, piegowaty blondyn koło czterdziestki nie mógł jakoś opanować dręczącego go niepokoju.

– Co jest? – bąknął ni to do siebie, ni do barczystego rudzielca o zaczątkach łysiny i twarzy żywo przypominającej zawodowego boksera. – Przecież powinien być już spacer.

– Jeszcze nie wrócili ci spod siódemki. – Albin Zaliwski obojętnie wzruszył ramionami. – Nie gorączkuj się, Jasiu. Na wszystko przyjdzie pora.

– Ale coś musiało się stać – nie ustępował Józwiak. – Pewno klawisze dorwali gryps na spacerniaku albo któryś z chłopaków wykręcił jakiś numer.

– Co za różnica?

– Wszystko się opóźni i znowu skrócą nam spacer.

– Pies z nimi tańczył! – Zaliwski opadł na najbliższą pryczę i nie bacząc na protesty właściciela wyciągnął się na niej wygodnie.

– Ja w ogóle nie muszę nigdzie wychodzić.

W celi ponownie zapanowało milczenie. Piegowaty blondyn przytknął ucho do drzwi, nasłuchując uważnie dochodzących z korytarza odgłosów, inni więźniowie za przykładem Albina przysiedli albo rozłożyli się na pryczach. Prawdę powiedziawszy dzisiejszy dzień nie różnił się niczym od innych. Od czasu do czasu gdzieś daleko trzasnęły drzwi, czy szczęknęła krata, z rzadka słychać było przenikliwy brzęk dzwonek sygnalizacyjnych albo ciężkie kroki strażników. Zakład karny żył swoim specyficznym, ale monotonnym życiem.

Józwiak miał już zamiar odejść od drzwi, kiedy nagle za ścianą ktoś załomotał blaszaną menażką. Niemal jednocześnie gdzieś po sąsiedzku rzucony z impetem taboret grzmotnął w zakratowane okienko. Brzękowi tłuczonego szkła towarzyszył przeraźliwy, trudny do zrozumienia, krzyk kilku więźniów.

– O rany! – W głosie piegowatego blondyna zadźwięczał nie ukrywany strach. – U nas też się zaczyna.

– Przynajmniej będzie wesoło – roześmiał się Zaliwski. – Jak dobrze pójdzie, napędzimy klawiszom cykora.

– Jasne! – przytaknął niski, dwudziestokilkuletni chłopak o bladej, zdecydowanie zbyt inteligentnej jak na kryminalistę twarzy. – Dlaczego i my nie mamy sobie poprotestować? Słyszałem, że w jednym z kiciów chłopaki wleźli na komin i nawet strażacy nie mogli ich stamtąd wykurzyć.

– U nas, Tadziu, nie ma takiego komina.

– W razie czego wymyśli się jakiś inny numer.

– Dajcie spokój! – Józwiak aż szczęknął zębami. – Przed wami jeszcze sporo odsiadki i możecie pozwolić sobie na rozróbki, ale mnie za miesiąc mieli puścić na warunkowe.

– Tego miesiąca też szkoda – zarechotał Tadek Kielecki. – Puść się, Jasiu, sam, bez cudzej łaski.

– Gadanie.

– No, chłopaki, na co czekacie? – Albin ruszył się z pryczy i odsuwając na bok piegowatego blondyna chwycił ciężki, więzienny taboret. – My też dajmy popalić klawiszom.

– Żeby ich szlag! – Poparł go Kielecki.

Taboret grzmotnął z łoskotem o drzwi celi. Zaliwski zamierzył się ponownie, Tadek zawył niczym wilk do księżycy, a i pozostali więźniowie nie czekali na dalsze zachęty. Kto

żyw, zaczął tłuc, czym popadło, w ściany i drewniane prycze. Nawet Józwiak przestał biadolić i raz, i drugi przyłożył swoją menażką o żelazną futrynę.

Tymczasem hałas z zewnątrz wzrastał się z minuty na minutę, a dochodzące przez zakratowane okienko odgłosy świadczyły niedwuznacznie, że bunt objął wszystkie piętra więziennego pawilonu. Teraz niemal już w każdej celi łomotały miednice, menażki i taborety, nie mówiąc o brzęku tłuczonego szkła i krzykach więźniów. Nagle, na korytarzu, zadudniły kroki kilkunastu biegnących. Huknął pojedynczy, choć zwielokrotniony więziennymi murami, strzał. Odpowiedział mu dziki, pełen nienawiści, wrzask i niemal jednocześnie szczęknięcie zamka w drzwiach sąsiedniej celi.

– Otwórzcie, otwórzcie!! – ryknął na całe gardło Kielecki. – Wypuście nas z tej nory!
– Dosyć tego siedzenia! Chcemy na wolność!

Na korytarzu ponownie huknął strzał i znowu zadudniły kroki biegnących. Tym razem odgłosy walki, czy może raczej pościgu, wyraźnie się oddalały. Jeszcze przeraźliwie zgrzytnęła wyrwana z zawiasów krata i harmider dochodzący z okolicznych cel zagłuszył wszystko.

– Jasna cholera! – zaklął Albin z nie ukrywanym zawodem. – Dlaczego nie otworzyli?
– Może wyłamać drzwi? – zaproponował Kielecki.
– Nie damy rady.
– Nigdy nic nie wiadomo.

Ciężkie, piętrowe prycze były przyśrubowane do podłogi, nie minęło jednak nawet pół minuty, kiedy jedna z nich zamieniła się w taran. Po pierwszym uderzeniu żelazne drzwi nawet nie drgnęły. Więźniowie zgodnie cofnęli się aż pod okienko i z impetem ruszyli do kolejnego ataku. Coś głucho chrupnęło. Teraz byli już pewni swego. Za trzecim razem każdy z nich napiął mięśnie do granic wytrzymałości. Chwilę później ogłuszył ich potworny łoskot pękających desek. Niestety, wbrew oczekiwaniom, drzwi trzymały się dalej, a z zaimprovizowanego taranu została tylko sterta połamanego drewna.

– Dalej, dalej! – Tadeusz ani myślał dać za wygraną. – Nie ruszajcie się jak muchy w smole!

– Chyba nie poradzimy – nieśmiało zaproponował Józwiak, gramoląc się spod desek. – To pudło budowali ze sto lat temu, a wtedy nie było fuszerki.

– Nie chrzań głupot! – jeden z pozostałych więźniów zdecydowanie poparł Kieleckiego.
– Co tam jakieś głupie drzwi dla dwunastu chłopca.

Kolejna prycza z rumorem została oderwana od podłogi. Tym razem starali się działać metodycznie. Pokrzykując gromko dla zachęty, raz za razem atakowali przeszkodę zagradzającą im wyjście na korytarz. Miarowe uderzenia coraz silniej wstrząsały drzwiami, aż w końcu tynk zaczął rysować się przy futryn timer. Wprawdzie i z zaimprovizowanego taranu zdążyło już wypaść kilka desek, ale nikt poza Józwiakiem nie wątpił w powodzenie przedsięwzięcia.

Cofali się właśnie pod okienko, kiedy na korytarzu ponownie zadudniły kroki biegnących. Zaliwski nie miał wątpliwości, że to więźniowie, a nie strażnicy. Tym razem było ich znacznie więcej niż przed kilkoma minutami i nie musieli już pokonywać niczyjego oporu. Hałas w całym pawilonie wzrósł się jeszcze, a chwilę później zaczęły szczekać zamki i pełne triumfu okrzyki obwieściły wszem i wobec, że mieszkańcy kolejnych cel dołączają do oswobodzonych wcześniej buntowników.

Albin bez zastanowienia zostawił rozwalającą się pryczę i dopadł drzwi. Zaczął wrzeszczeć, co sił w płucach, by skłonić tych na zewnątrz do pośpiechu. Teraz sekundy wlokły się niczym godziny. Wreszcie przyszła kolej i na celę Zaliwskiego. Zamek zgrzytnął metalicznie i drzwi stanęły otworem.

– Wyłażcie! – wrzasnął łysy jak kolano grubas z pękiem kluczy w ręku. – No, szybko, póki nie ma klawiszy!

Zaliwski i Kielecki pierwsi wyrwali się na korytarz. Było tu aż ciemno od więziennych drelichów. Podekcytowany tłum miotał się to w jedną, to w drugą stronę bez widocznego sensu ani celu. Prawie każdy coś wykrzykiwał, niektórzy tłukli o ściany menażkami i wyrwali z pryczy kawałki desek, kilku więźniów z uporem godnym lepszej sprawy usiłowało wspiać się po nierównościach muru do umieszczonej pod sufitem kamery. W ogólnym rozgardiaszu jeden tylko łysy grubas z pękiem kluczy zachował zimną krew, sprawnie otwierając drzwi kolejnych cel. Mijał właśnie połowę korytarza, gdy nagle gdzieś z wyższego piętra dobiegł ogłuszający łomot, jak gdyby waliły się mury więziennego pawilonu. Tłum przycichł, zakołysał się niespokojnie i moment później wszyscy runęli w stronę wyjścia. Biegiem wypadli na klatkę schodową. Pod naporem ludzkich ciał pękła balustrada i gdyby nie siatki oddzielające poszczególne piętra, kilku więźniów najprawdopodobniej połamałoby kości o betonową posadzkę parteru.

Wyłamana i pogięta krata przy wejściu do pawilonu trzymała się już tylko na jednym zawiasie. Kilka kroków dalej ni to siedział, ni to leżał strażnik w podartym mundurze i z zakrwawioną głową, nie poruszał się, a i przebiegający obok więźniowie jakoś nie zwracali na niego uwagi. Większość świeżo uwolnionych pędziła w kierunku budynku administracji więzienia. Zebrany tam tłum, jak na razie, bezskutecznie szturmował wejście, ale używany w charakterze taranu betonowy słup zwalonej właśnie latarni zdążył już porządnie nadwerżyć zamkniętą bramę. Kielecki najwyraźniej miał zamiar pobiec za innymi i dołączyć do szturmujących, w ostatniej jednak chwili powstrzymał go Zaliwski, chwytając porozumiewawczo za łokieć.

– Co jest? – Tadeusz spojrzał pytająco na kumpla z celi.

– Dajmy spokój tym przepychankom. – W głosie Albina był zadziwiający spokój i pewność swego. Prędej czy później klawisze i tak pogonią chłopaków. Lepiej skorzystać z okazji.

– Nie rozumiem.

– Chcesz gnić w pudle do końca wyroku?

– Pyskasz?! – Oczy Kieleckiego błysnęły niezdrowym blaskiem. – Którędy?

– Wszyscy walą pod administrację i główną bramę, ale od strony kotłowni powinien być spokój. Póki nie palą, pewno pies z kulawą nogą nie pilnuje interesu.

– Górą i tak nie da rady. Strażnicy nie ruszą się z wieżyczki, nawet gdyby cały kić miał stanąć na głowie. Przyuwają nas, zanim jeszcze wleziemy na mur.

– Nie przyuwają. – Zaliwski uśmiechnął się chytrze. – Pójdziemy przez kolektor.

– Zwariowałeś?! Chcesz, żebyśmy potopili się jak szczury?

– Nie bój bidy. – Albin wzruszył ramionami z nie ukrywaną wyższością. – Kiedyś robiłem w wodociągach i znam się na tym.

– Jeśli nawet, to i tak nie przeleziemy przez kratę.

– Od tej strony krata jest po wewnętrznej stronie muru, gdzieś między ostatnią studzienką a kotłownią. Jak dobrze pójdzie, dostaniemy się do kolektora po ukręceniu jednej kłódki, a dalej to już będzie spacerek...

Przemknęli wzdłuż płotu z betonowych prefabrykatów, oddzielającego teren codziennych spacerów. Dalej biegła wysoka, blisko sześciometrowa siatka zwieńczona drutem koleczastym. Szczęśliwym trafem furka, podobnie jak większość innych, była wyrwana z zawiasów i mogli bez przeszkód przedostać się na drugą stronę. Chwilę później dotarli pod niski, odrapany budynek, w którym mieściła się kuchnia. Za progiem leżały poprzewracane kotły, a rozlana, więzienna zupa utworzyła wielkie, zakrzepłe już, kałuże. Tadeusz na moment przystanął, ale Zaliwski dał mu znak, że nie czas na odpoczynek. Podbiegli do niewysokiego płotku. Albin pokonał go jednym susem. Kielecki miał właśnie zamiar pójść w jego ślady, kiedy od strony „spacerniaka” zadudniły na bruku czyjeś śpieszne

kroki. Obaj odwrócili się jak na komendę. Uspokoili się, gdy okazało się, że nadbiegającym jest Józwiak.

– Zaczekajcie! – sapnął zdyszany. – Idę z wami.

– Co ja słyszę? – nie bez kpiny zauważył Zaliwski. – Jasio pożałował tego ostatniego miesiąca odsiadki.

– Teraz i tak nie puszczą już nikogo na warunkowe – odburknął Józwiak ponuro. – Zamiast za miesiąc, wyszedłbym nie wcześniej niż na Boże Narodzenie w osiemdziesiątym drugim.

Albin skinął głową na znak, że uważa sprawę za wyjaśnioną i nie oglądając się na kolegów ruszył wzdłuż budynku kuchni. Przystanął dopiero przy rogu. Moment później dołączyli do niego Janek z Tadeuszem. Przez kilka sekund rozglądali się niespokojnie. Za dwumetrowym płotem z betonowych prefabrykatów i niewiele wyższą siatką widać już było kotłownię, ale po lewej stronie, niespełna trzydzieści metrów od nich, ciągnął się główny, więzienny mur z charakterystyczną, oszkloną wieżyczką.

– Teraz szybko, żeby nas nikt nie przyuważył! – zakomenderował Zaleski.

Pomknęli co sił w nogach. Betonowy płot wszyscy trzej pokonali bez kłopotu, za to niewiele brakowało, a siatka uniemożliwiłaby Józwiakowi dalszą ucieczkę. Źle obliczył wyskok i już na samej górze zaczął łokciem o wieńczący siatkę drut kolczasty. Jęknął z bólu, zdołał jednak przetrząść nogi na drugą stronę, ale ponownie zaczął o drut, tym razem pośladkiem.

– Skaczące, do ciężkiej cholery! – Zaliwski powiedział to cicho, ale w jego głosie był nieznoszący sprzeciwu rozkaz. – Szybciej!

Kumpel posłuchał. Szarpnął się rozpaczliwie, aż pośladek zdrętwiał mu z bólu i poczuł, że spada. Niezdarnie grzmotnął o ziemię. Na moment pociemniało mu w oczach, ale zerwał się niemal natychmiast. Jeszcze kilka kroków... i wszyscy trzej byli przy kotłowni.

Bez pośpiechu już podeszli do wejścia. Teraz budynek zasłaniał ich przed wzrokiem strażników z wieżyczki i czuli się już znacznie bezpieczniej. Albin energicznie nacisnął klamkę, drzwi jednak nie ustąpiły. Były niezbyt szerokie, ale okute żelazną blachą i wyglądały całkiem solidnie, tak że ewentualne wyważenie ich z zawiasów mogło okazać się problematyczne.

– Spróbujesz? – Zaliwski popatrzył pytająco na Józwiaka.

– Jeśli zamek jest magnetyczny, to nic nie poradzę – zerknął uważnie na dziurkę od klucza.

– Po jaką cholere miałoby montować tu magnetyczne zamki?

– Nigdy nic nie wiadomo.

Józwiak wyciągnął zza pazuchy zdobyty skądś kawałek stalowego drutu. Kilkomą wprawnymi uderzeniami kamienia przygiął go nieco na końcu i ponownie zajrzał do dziurki od klucza. Po chwili wahania sięgnął jeszcze do kieszeni po drugi drut, tym razem znacznie cieńszy i giętki niczym sprężyna. Zaimprovizowane wytrychy nie wyglądały imponująco, kiedy jednak kilka sekund później rozległ się charakterystyczny szcęk otwieranego zamka, Albin z nie ukrywaniem uznaniem poklepał kumpla po ramieniu.

Drzwi ustąpiły i uciekinierzy znaleźli się w budynku. Na szczęście nie było tu żadnych instalacji alarmowych. Bez przeszkód minęli krótki korytarzyk i krętymi, żelaznymi schodkami zeszli pół piętra w dół. Żeby dostać się niżej, do kotłów i składu koks, trzeba było pokonać jeszcze kratę zabezpieczoną dwoma solidnymi kłódkami. Józwiak sięgnął po swoje wytrychy, ale tym razem ubiegł go Zaliwski. Krótki kawałek porzuconego na schodach, stalowego płaskownika posłużył jako dźwignia i kłódki z brzękiem opadły na podłogę. Albin pchnął kratę. Nie oliwione zawiasy zgrzytnęły nieprzyjemnie. Zrobił krok w stronę kotłów, w tym jednak momencie osadził go na miejscu ostrzegawczy gwizd Kieleckiego.

Obaj z Jankiem rzucili się do żelaznych schodków. Na ich szczycie, przy zakratowanym okienku, stał Tadeusz. Wystarczyło jedno spojrzenie, by zorientować się w sytuacji. Między siatką a płotem z betonowych prefabrykatów biegli rzędem funkcjonariusze służby więziennej. Było ich więcej niż dwudziestu, a plastikowe hełmy i tarcze wyraźnie świadczyły, że są przygotowani na każdą ewentualność.

– Będzie gorąco! – Józwiak odruchowo przylgnął do ściany. – Oj, dadzą naszym popalić!

– Tylko bez paniki. – Zaliwski najwyraźniej nie podzielał obaw kompana. – Musieliby tu ściągnąć przynajmniej ze setkę mundurowych, żeby załatwić chłopaków.

– A jeśli któryś z nich zajrzy do kotłowni?

– To po nas. – Albin beznamiętnie splunął pod nogi. – Niestety, takie jest życie.

Funkcjonariusze musieli mieć jednak pilniejsze zadania, niż przetrząsanie mijanych właśnie zabudowań zakładu karnego, i żadnemu z nich nawet nie przyszło do głowy, by zajrzeć do kotłowni. Jeszcze chwila i wkrótce zniknęli za rogiem budynku kuchni. Uciekinierzy odetchnęli z wyraźną ulgą. Na wszelki wypadek odczekali kilkanaście sekund, aż kroki funkcjonariuszy służby więziennej przycichną i w milczeniu wrócili na dół.

Z głównego pomieszczenia kotłowni prowadziły trzy wyjścia. Skład opału ani ubikacja nie wzbudziły najmniejszego zainteresowania trójki więźniów, za to uwagę ich zaprzątnęła mała, niska komórka. Około czwartą część podłogi zajmowała w niej nieco zardzewiała, żelazna kłapa zabezpieczona solidnie wyglądającą kłódką. Józwiak i Kielecki popatrzyli po sobie niepewnie, ale podobnie jak w przypadku kraty przy schodach i tym razem płaskownik Zaliwskiego okazał się niezawodny. Nie minęło nawet pół minuty, kiedy kłódka z ukreconym kabłąkiem potoczyła się w kąt komórki, a ciężka kłapa odsłoniła wylot studzienki.

Albin ostrożnie spuścił się na dno. Studzienka nie miała więcej niż jakieś trzy metry głębokości i prowadziła do wąskiego, niespełna półmetrowej średnicy kanału. Cuchnąca woda sięgała tu do pół łydki, ale Zaliwski nie zwracał na to uwagi. Przykleknął, by zorientować się w sytuacji i niemal natychmiast ordynarnie zaklął. Jeden z wylotów kanału nie był niczym zabezpieczony, ale przejście w kierunku kolektora zamykała wmurowana w ścianki krata. Albin podniósł się i przez kilkanaście sekund spoglądał bezradnie na nieoczekiwaną przeszkodę. Już chciał dać za wygraną, kiedy przypomniał sobie o stalowym płaskowniku. Wyciągnął żelastwo zza pazuchy i z całej siły dźgnął jedną z cegieł. Ukruszony kawałek upadł z chlupotem.

– Poszukajcie jakiegoś młotka – zakomenderował Zaliwski, odwracając się do obserwujących jego poczynania kompanów. – A jeden niech leci na schody i kikuje na klawiszy. Będzie trochę hałasu.

Nie zadawali zbędnych pytań. Kielecki bez słowa pośpieszył na zajmowany kilka minut temu punkt obserwacyjny przy okienku u szczytu żelaznych schodków, a Józwiak zaczął się rozglądać za narzędziami. Różne pogrzebacze i druciane szczotki do czyszczenia kotłów zajmowały honorowe miejsce na jednej ze ścian kotłowni, ale narzędzia trzymano widać gdzie indziej, bo zamiast młotka Jankowi udało się znaleźć jedynie kawałek wyszczerbionego rusztu.

Tymczasem robota na dnie studzienki posuwała się szybko. Używany w charakterze mesła, to znowu łomu, płaskownik raz za razem odłupywał kawałki cegieł i zaprawy. Albin nie żałował mięśni. Poczzerwieniał z wysiłku, więzienny drelich przykleił mu się do złanych potem pleców, nie minął jednak nawet kwadrans, kiedy efekty jego pracy stały się widoczne. Pokażny stos gruzu wystawał z wody na dnie kanału, a co najważniejsze dla nich, obluźwana krata zaczęła się ruszać.

Zaliwski odłożył na bok płaskownik. Przez kilka sekund zacierał ręce i oddychał głęboko niczym ciężarowiec przed decydującą próbą. W końcu zaparł się mocno nogami i chwyciwszy oburącz kratę z całej siły pociągnął ku sobie. Coś głośno chrupnęło, krata

poddała się nieco, ale nie ustąpiła. Albin ponowił próbę napinając mięśnie do granic wytrzymałości. W murze ponownie coś zatrzęszczało. Zaliwski pomyślał, że jeszcze chwila i droga będzie wolna. Spróbował poprawić chwyt, w tym samym jednak momencie jedna z nóg utraciła oparcie i Albin grzmotnął siedzeniem w cuchnącą wodę na dnie studzienki.

– Żeby to szlag! – warknął gniewnie. – Janek, wołaj Tacka. Teraz niech on przymierzy się do tej choleralnej kraty.

Niespełna minutę później miejsce Zaliwskiego zajął Kielecki. Kawałki zaprawy i cegieł znowu posypały się z muru, choć robota nie szła już tak sprawnie. Płaskownik Albina raz po raz wypadał Tadeuszowi z rąk, a po kilku niefortunnych uderzeniach jego palce nabrały brunatnosinego zabarwienia. Kielecki kłął niczym szewc, ale mimo to nie dawał za wygraną. Wreszcie jego wysiłki zostały jednak uwieńczone powodzeniem. Udało mu się wbić płaskownik w szczelinę między cegłami. Tym razem odpadł większy kawałek muru i stalowy wąż mocujący kratę od góry pozbawiony został oparcia.

Zaliwski nie czekał na dodatkową zachętę. Nie zastanawiając się zeskoczył z powrotem do studzienki i obaj z Tadeuszem przymierzyli się do stalowej przegrody. Poczzerwienieli z wysiłku, ale już za pierwszym szarpnięciem wyrwali z muru kolejny wąż mocujący kratę. Jeszcze chwila i ogłuszający zgrzyt oznajmił więźniom, że droga wolna.

Albin ruszył pierwszy. Jakieś dwadzieścia metrów musieli przebrnąć na czworakach, nim dotarli do kolektora. Był niemal trzykrotnie wyższy i szerszy od kanału prowadzącego do studzienki, jednak i tutaj poruszanie się sprawiało niemałą trudność. Woda sięgała do kolan, okropny smród zatykał nosy, a w panujących ciemnościach uciekinierzy ledwo widzieli jeden drugiego, ale żaden nie narzekał. Każdy przecież krok oddalał ich od murów więzienia.

Szli już dobry kwadrans, kiedy w kolektorze jak gdyby nieco pojaśniało. Chwilę później dotarli do wylotu studzienki. Od góry było zabezpieczone typowym, żeliwnym sitem, do którego prowadziły zamontowane w ściankach klamry. Zaliwski wdrapał się pod samo sito i zdecydowanym ruchem napał na nie ramieniem. Ustąpiło niemal natychmiast. Wysunął głowę na powierzchnię i z ciekawością zaczął się rozglądać. Ulica była pusta. Po jej obu stronach ciągnęły się niewysokie, z reguły parterowe, domki, a wylot zamykał nasyp kolejowy. Sądząc z odgłosów nadjeżdżał właśnie jakiś pociąg.

To była szansa. Albin wyskoczył ze studzienki i nie oglądając się na kompanów ruszył biegiem w kierunku nasypu. Mniej więcej w połowie drogi dostrzegł lokomotywę ciągnącą długi sznur towarowych wagonów. Odruchowo przyśpieszył kroku. Pociąg jechał dość szybko, ale przy odrobinie szczęścia zabranie się na któryś z wagonów było całkiem realne.

Jeszcze kilka kroków i Zaliwski zmienił nieco kierunek. Na nasyp wbiegł ukosem, tak, by nie tracić szybkości. Mijała go właśnie platforma z tarcicą. Sprężył się w sobie i skoczył, chwytając rękami za występ wagonu. Poczul szarpnięcie i trudna do przewyciężenia siła zaczęła go ściągać w dół. Nie puścił występu, ale i nie dał rady podciągnąć się wyżej i przez kilka sekund wisiał u boku platformy, bezradnie wierzgając nogami. Poczul, że drętwieją mu ręce. Z przerażeniem pomyślał, co będzie, jeśli spadnie na tory i nagle strach dodał mu sił. Ponownie napiął mięśnie, szarpiąc się rozpaczliwie. Miarowy turkot kół zabrzmiał dziwnie złowrogo i Zaliwski zwątpił już w swoją szczęśliwą gwiazdę, kiedy nieoczekiwanie czubkiem lewego buta znalazł oparcie na jakimś wsporniku. Powoli, centymetr po centymetrze, wywindował się wyżej. Jeszcze jeden wysiłek i bezpiecznie już leżał na skraju platformy. Dopiero teraz obejrzał się za siebie. Kielecki włąził właśnie na zamykającą skład pustą węglarkę, ale drobna sylwetka biegnącego Józwiaka malała na torach za oddalającym się pociągiem.

II

Teodor Demski krążył nerwowo między drzwiami a oknem swego gabinetu. Nie mógł opanować dręczącego go niepokoju. W ciągu z górą piętnastu lat sprawowania funkcji głównego księgowego w Zakładach Elektronicznych zdążył już wprawdzie przeżyć niejedną reorganizację i czystkę kadrową, za każdym jednak razem nawiedzały go te same obawy i wątpliwości. Wszelkie przecież zmiany układów personalnych groziły nie tylko osłabieniem nieformalnej pozycji, jaką zdołał sobie wypracować, ale co gorsza odgrzebanie starych, pozornie zapomnianych, spraw i sprawek.

Demski wrócił za biurko i sięgnął po butelkę wody sodowej. Mimo że listopad należał raczej do chłodnych, a kaloryfery grzały marnie, księgowemu było gorąco i duszno. Nerwowym ruchem zerwał kapsel, przejechał chusteczką po spoconej łysinie i dosłownie duszkiem wypił pół butelki. Odstawił ją właśnie, gdy cicho skrzyknęły drzwi. W progu gabinetu pojawił się wysoki, szczupły mężczyzna o gęstej szpakowatej czuprynie. Teodor zawsze zazdrościł Pawlakowi wyglądu. Byli rówieśnikami, a jednak nikt nie powiedziałby, że i tamten dawno już przekroczył pięćdziesiątkę.

– Byłeś w ministerstwie? – Tym razem Demski nie bawił się w kurtuazyjne wstępy.

– I w ministerstwie, i w zrzeszeniu, i nawet w Komitecie. – Dyrektor ekonomiczny opadł na jedno ze stojących pod ścianą krzeseł.

– Dowiedziałeś się czegoś?

– Wszędzie usłyszałem dokładnie to samo.

– Mianowicie?

– Trydeckiemu już nic nie pomoże. Idzie na trawkę.

– Mają przeciwko niemu jakieś konkretne zarzuty?

– To, co teraz w modzie: nieudolność, brak kompetencji, biurokratyczny styl w zarządzaniu...

– Ach tak! – księgowy wyraźnie odetchnął. – Znaczy, że póki co, nas nie będą się czepiać?

– Niezbadane są wyroki niebios – mruknął Pawlak. – Diabli wiedzą, co jeszcze strzeli komu do głowy.

– Ciekawe, kto załatwił naszego starego? – Teodor w zamyśleniu zmarszczył brwi. – Trydecki przetrzymał ostatnie trzy lata i zdawało się, że już żadna ludzka siła nie ruszy go ze stołka. Nie poradzili mu Trychner z Szeleźniakiem, wszystkie kontrole odeszły z kwitkiem, a nawet komisarz dał się jakoś ułagodzić.

– Nie zapominaj, że wtedy było jeszcze Zjednoczenie, a Walendowski zawsze trzymał sztamę z Trydeckim!

– Niby prawda. Walendowskiego wykołegowali z nowo utworzonego zrzeszenia, a i w ministerstwie zdrowo się zakotłowało.

– Tak czy inaczej szkoda starego. Dał ludziom pożyć.

– Nowego naczelnego też się urobi – zapowiedział Demski z nadzieją w głosie. – W końcu nas, Benek, nie wywalili, w firmie zostają też Grzebieniowski z Trepanowiczem. Jakos to będzie.

– Szkoda tylko, że nie dałem rady wyniuchać, kogo nam teraz podeślą.

– Twój koleś z ministerstwa, Gąsiorowski, nie puścił pary z gęby?

– Od kiedy awansował, zapomniał, że byliśmy na ty. Ledwo mnie raczył poczęstować lurowatą kawą, strzelił kilkoma frazesami niczym na oficjalnej nasiadówce i pod pozorem, że czekają go niecierpiące zwłoki zajęcia, kazał mi się wynosić.

– A to bydlę! – księgowy aż zgrzytnął ze złości zębami.

– Cóż poradzić, takie jest życie. – Dyrektor ekonomiczny machnął ręką z widoczną rezygnacją. – Z ministerstwa pojechałem do komitetu – wrócił do zasadniczego tematu – i wprosiłem się do Kropowa.

– I co?

– Ten, jak zwykle, nabrał wody w usta i odesłał mnie do zrzeszenia. Niestety, na miejscu okazało się, że dosłownie przed chwilą Balcerzaka wezwali do ministerstwa. Minęliśmy się w drodze.

– Jak pech, to pech.

– Szlag by to wszystko trafił!

Księgowy chciał jeszcze o coś zapytać Pawlaka, ale nagle trzasnęły drzwi i do gabinetu wpadł niczym bomba niewysoki, trzydziestokilkuletni, sądząc z wyglądu, mężczyzna w grubych, rogowych okularach. Mocno zaaferowana mina Trepanowicza, bo tak się nazywał, świadczyła wymownie, że kierownik działu kadr przynosi jakąś nadzwyczaj ważną nowinę.

– Wiem, kto będzie naszym nowym naczelnym! – rzucił od samego progu. – Dostałem właśnie cynk od panny Basi z ministerstwa.

– Tss! – Teodor ostentacyjnie przyłożył palec do ust. – Ściany mają uszy!

Jacek Trepanowicz cofnął się odruchowo, jak gdyby chciał sprawdzić, czy nikt nie szedł za nim korytarzem, w ostatniej jednak chwili zrezygnował i zamknąwszy ponownie drzwi, szybkim krokiem podszedł do Pawlaka i Demskiego.

– Piętnaście minut temu do ministerstwa przyjechał dyrektor zrzeszenia Balcerzak – kadrowiec na wszelki wypadek zniżył głos. – Był w towarzystwie ni mniej ni więcej, tylko Walendowskiego. Posiedzieli chwileczkę u Gąsiorowskiego i cała trójka pomaszerowała do gabinetu dyrektora departamentu. Moim zdaniem sprawa jest jasna.

– Znaczący, żyjemy! – ucieszył się księgowy. – Walendowski to swój człowiek.

– Jako naczelny Zjednoczenia cholernie zadzierał nosa – z odrobiną sceptycyzmu przypomniał Benedykt.

– To żaden feler. Zresztą ostatnimi czasy porządnie nalało mu się wody w uszy.

– Tak czy inaczej należałoby go godnie powitać.

– Najlepiej, zanim jeszcze ktokolwiek dowie się o nominacji.

– Bierzymy Franciszka do knajpy, czy do któregoś z nas?

– Może na moją daczę? – zaproponował Teodor. – Zawsze wypadłoby taniej.

– Trochę chłodno – zaproponował Trepanowicz.

– Też coś! – oburzył się księgowy. – Chałupa jak się patrzy, murowana, są piece akumulacyjne i kominek, a ten mi tu wyjeżdża z pogodą.

– W porządku – uciął Pawlak. – Zaraz wysyłam kierowcę po gorzałę.

– A co z zakąską? Kielbasę i pasztet wyfasuje się z naszego bufetu, ale trzeba pomyśleć o czymś na gorąco. Przecież chudego bigosu ani przedwczorajszej kaszanki nie zaserwujemy Walendowskiemu.

– Grzebieniowska narobiła w wekach dziczyzny. Mogłaby trochę odstąpić na tę okazję.

– Racja! – zapalił się Benedykt. – Moja sekretarka nieźle pitrasi. Pomogłaby Danuśce i mielilibyśmy kłopot z głowy.

– Chcecie zabrać na daczę żonę Władka? – Po twarzy Demskiego przemknął cień niepokoju.

– Twoją również – podchwycił Pawlak. – Swego czasu Franciszek smalił do niej cholewki, a powiadają, że stara miłość nie rdzewieje. Sprawilibyśmy Walendowskiemu miłą niespodziankę.

– Co takiego?! – Demski aż poczerwieniał. – Agnieszka to nie dziewczynka spod Polonii.

– Nie unosi się, stary – zbagatelizował sprawę kadrowiec. – Przecież nie urządzamy żadnej orgietki. A swoją drogą chyba nie po to braliście z Grzebieniowskim żony o dwadzieścia lat młodsze, żeby trzymać je pod kluczem. Im też coś się od życia należy.

III

– No cóż, to byłoby chyba wszystko. – Kapitan Jodecki z wyraźną ulgą odłożył długopis. – Proszę, niech pan przeczyta protokół przesłuchania i podpisze u dołu na każdej stronie. Gdyby coś się nie zgadzało...

– Pewno wszystko się zgadza. – Adam Trychner nerwowo potarł rzadką, niezbyt starannie utrzymaną brodę. – Szkoda czasu na czytanie.

– Formalności musi stać się zadość – nie ustępował oficer. – Zresztą mogłem coś pominąć albo nieświadomie przeinaczyć, a składając podpis bierze pan na siebie odpowiedzialność za wszystko, co zostało zaprotokołowane.

– Niech pan lepiej powie, co teraz ze mną zrobicie? – Najwyraźniej zupełnie coś innego niż protokół zaprzętało uwagę przesłuchiwanego.

– Co zrobimy? – Po twarzy Jodeckiego przemknął nikły uśmiech. – Przecież wracając do kraju i składając odpowiednie wyjaśnienia uczynił pan zadość wymogom ustawy amnestyjnej. Nakaz pańskiego zwolnienia jest już podpisany.

– Nie będę miał sprawy?

– Jeśli nie naruszy pan porządku prawnego, to więcej już się nie zobaczymy.

– Chwała Bogu! – Trychner odetchnął z wyraźną ulgą. – Prawdę powiedziawszy wcale nie byłem pewien, czy mimo oficjalnych zapewnień nie trafię za kratki.

Kapitan nie odpowiedział. Ostatnio bardzo często zdarzało mu się słyszeć podobne stwierdzenia przesłuchiwanym.

Tymczasem Trychner przysunął sobie protokół, wbrew uprzednim zapowiedziom przeczytał go uważnie od deski do deski i podpisawszy we wskazanych miejscach popatrzył na oficera wyczekująco.

– Kawalerkę pewno mi skonfiskowaliście? – raczej stwierdził, niż zapytał. – Tam, gdzie byłem, mówili w radio, że emigrantom zabieracie mieszkania.

– Gdyby pan dłużej zwlekał z wyjazdem, może i tak by się stało. Póki co, klucze czekają na pana w depozycie.

– A co z pracą?

– To pańska sprawa. – Jodecki trochę się zniecierpliwiał. – Przed wyjazdem miał pan dobrą posadę. Niech pan idzie do Zakładów Elektronicznych i spróbuje pogadać z kadrowcem. A jeśli nie zechcą tam pana ponownie zatrudnić, proszę wybrać się do pośredniaka. Tu nie Zachód, o pracę nietrudno.

IV

Trepanowicz zredukował bieg i kremowy opel zjechał z szosy na wąską, wyboistą szutrówkę. Po obu jej stronach ciągnęły się mniej lub bardziej dostatnio wyglądające daczki. W większości świeciły pustką. Widać listopadowa aura odstręczała właścicieli od wizyt w swych włościach, a i pobliski Zalew Zegrzyński nie stanowił już o tej porze roku większej atrakcji. Jeszcze w soboty i niedziele bywało tu ludniej, ale w środku tygodnia rzadko widywało się kogoś poza stałymi mieszkańcami Załubic.

Samochód podskoczył na jakimś wyboju i siedzący obok kierowcy Walendowski dosłownie o włos uniknął zderzenia z szybą. Zaklęli jak na komendę. Dyrektor miał już na końcu języka cierpką uwagę pod adresem kadrowca i jego wozu, w ostatniej jednak chwili zrezygnował. Zza zakrętu wyłoniła się właśnie okazała, piętrowa daczka, a ściślej biorąc willa wyraźnie odbiegająca swym wyglądem od okolicznych domków letniskowych. Za bramą, na niezbyt starannie utrzymanym trawniku, stały dwa polonezy i łada, a w otwartych drzwiach czekał Demski z butelką whisky i zielonymi szklaniami.

– Gość w dom, Bóg w dom! – powitał radośnie Walendowskiego. – Cieszę się, Franciszku, że znów cię widzę.

– Ja również! – Walendowski mimo swej okazałej tuszy żwawo wygramolił się z samochodu. – Czasem dobrze przypomnieć sobie, jak wyglądają gęby starych przyjaciół.

– No, to na dzień dobry! – Księgowy napełnił do połowy szklanicę i podał ją przybyłemu.

– Dobry Johnnie Walker nie jest zły. – Franciszek bezbłędnie rozpoznał charakterystyczną nalepkę na kanciastej butelce. – Twoje zdrowie, Teoś!

– W żadnym wypadku – zaprotestował księgowy. – Najpierw zdrowie miłego gościa.

– Ależ po co te ceregiele?

– Myślę, że sprawa nie podlega dyskusji – wtrącił się Trepanowicz, przypominając dyskretnie o swej obecności. – Przede wszystkim powinniśmy wypić zdrowie naszego nowego szefa.

– Więc już wiecie? – Walendowski uśmiechnął się przyjaźnie. – Przecież decyzja zapadła zaledwie przed dwoma godzinami.

– Skakaliśmy wszyscy z radości, niczym piłkarze po strzelonym голу – zapewnił Demski. – W końcu dobry naczelny, to dziewięćdziesiąt procent powodzenia dla przedsięwzięcia.

– Trydecki też nie był taki ostatni – dyrektor uznał za stosowne rzucić ciepłe słówko o swym poprzedniku, ale wypadło to jakoś mało przekonująco.

– No wiesz?! – zachnął się Teodor. – Co za porównanie! Przecież on mógłby ci, Franciszku, buty czyścić.

– Prosimy panów do środka. – Za plecami księgowego pojawiła się zgrabna, choć może nieco zbyt szeroka w biodrach blondynka o okrągłej, lalkowatej twarzy i pełnych, wymalowanych jaskrawą szminką, ustach.

– O, pani Agnieszka! – szczerze ucieszył się Walendowski. – Całuję rączki, całuję rączki... Jak zwykle wygląda pani prześlicznie. Gdybym miał o dziesięć lat mniej, spróbowałbym odbić panią Teodorowi.

– Pan naprawdę jest starszy od mego męża? – udała zdziwienie. – Wcale tego po panu nie widać.

– Czyżbym miał u pani jakieś szanse?

– Ależ oczywiście. Uwielbiam takie, zdecydowanie męskie, typy.

Komplement był grubymi nićmi szyty, dyrektor napuszył się jednak z zadowolenia niczym indor, Demska ponowiła zaproszenie i wszyscy weszli do środka. Wnętrze dachy w niczym nie przypominało zwykłego domku letniskowego. Stylizowane, cepeliowskie meble znakomicie harmonizowały z jasną, sosnową boazerią, a rzucona na podłogę skóra dzika i zajmujące honorowe miejsce na wprost wejścia wieńce jelenia świadczyły o myśliwskiej żyłce właściciela. Całości dopełniał oryginalny kominek z kilkoma brzozywymi polanami żarzącymi się za ozdobną, żelazną kratą.

– Fajnie się urządziłeś, Franciszek.

– Wygląda nie najgorzej, ale kosztowało...

– Nie musisz mi mówić. Wiem przecież, ile musiałem włączyć w tę swoją lepiankę nad Wilgą.

– Witamy, witamy! – Grzebieniowski i Pawlak zgięli się przed nowym szefem z ostentacyjną wprost uniżonością. – Prosimy pana dyrektora do stołu.

– Boże, toż to prawdziwe przyjęcie! – Walendowski z niekłamana przyjemnością zerknął w stronę półmisków. – A kolega Trepanowicz zapewniał mnie, że tylko wypijemy po kusztyczku pod ogóreczka albo kanapkę.

– Czym chata bogata...

Gospodarz zachęcającym gestem podniósł szklanicę. Dyrektor naczelny dopił ochoczo swoją whisky i pozwolił się usadowić na honorowym miejscu pomiędzy Agnieszką a żoną Grzebieniowskiego. Pani Danuta bez zwłoki nałożyła mu na talerzyk jakiejś sałatki i kilka plasterków zdobytego skądś baleronu, a Pawlak postawił na stole butelkę żytniówki, która aczkolwiek nie tak reprezentacyjna jak Johnnie Walker, zdaniem zebranych znacznie lepiej nadawała się do picia w większych ilościach. Chwilę później ktoś wzniosł toast i wesoło brzęknęło szkło. Okolicznościowe przyjęcie zapowiadało się całkiem obiecująco.

– Strasznie dawno pani nie widziałem. – Walendowski nachylił się do Demskiej. – Będzie już chyba z półtora roku.

– Na imieninach u Maćka Trydeckiego – przypomniała Agnieszka. – Do dziś miło wspominam ten wieczór.

– Doprawdy?

– Był pan wtedy taki miły. – Zalotnie mrugnęła powiekami. – Taki szarmancki... Dżentelmen w każdym calu!

– Ależ pani Agnieszko! – W nagłym odruchu chwycił ją za rękę. – Z pewnością nie zasłużyłem sobie na te pochwały.

– Zasłużył pan, zasłużył! Bardzo żałowałam, że później nie mieliśmy już okazji się spotkać.

– Prawdę powiedziawszy wiele o pani myślałam, ale czasy nie sprzyjały podtrzymywaniu kontaktów towarzyskich.

– Mam nadzieję, że teraz będziemy się widywać częściej.

– Z pewnością.

– Koniecznie musi pan zobaczyć nasze nowe, warszawskie lokum.

– Chętnie skorzystam z zaproszenia tak uroczej pani domu.

– Może skosztuje pan pasztetu, panie dyrektorze? – Bezceremonialnie przerwała rozmowę Grzebieniowska, podsuwając Franciszkowi pełny półmisek. – Sama robiłam.

– Z zającą? – Wrodzone łakomstwo Walendowskiego skłoniło go, by na moment zostawić sąsiadkę i odwrócić się do niemal równie atrakcyjnej, choć trochę zbyt pulchnej, pani Danuty.

– W pasztecie jest również dziczyzna, ale reszta to już moja tajemnica.

Nie czekając na dalsze zachęty, zgarnął na talerzyk kilka plasterków. Paszтет w istocie świadczył o nieprzeciętnych talentach kulinarnych Grzebieniowskiej i Walendowski aż mlasnął z zadowolenia.

– Niebo w gębie! – pochwalił. – Mógłbym zjeść i dwa półmiski za jednym zamachem.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Danuta uśmiechnęła się z udaną skromnością. – Ale to jeszcze nic. Proszę nas kiedyś odwiedzić. Dopiero u nas w domu oceni pan należycie moją kuchnię.

– Zdrowie pięknych pań! – Dyrektor przypomniał sobie o kieliszku. – Żebyśmy zawsze mogli konsumować przepyszne wytwory ich drobnych rączek.

– Zdrowie pań! – podchwycił siedzący naprzeciwko Pawlak. – Nieustające...

Wypili. Walendowski zakąsił paszтетem, poprawił plasterkiem baleronu i zerknął w stronę dyrektora ekonomicznego, słuchającego właśnie jakiejś opowieści swojej rudowłosej sekretarki, panny Doroty.

– Co tam słyhać u nas, w zakładzie? – zagadnął, mrugając porozumiewawczo. – Prawdę powiedziawszy od likwidacji zjednoczenia zupełnie nie jestem w kursie.

– Mamy kłopoty, panie dyrektorze – westchnął Pawlak. – Brakuje dosłownie wszystkiego, od surowców i półfabrykatów począwszy, a na częściach zamiennych do parku maszynowego kończąc, już od pół roku jedziemy z produkcją praktycznie na pół gwizdka.

– Wiadomo, kryzys. – Naczelny ze zrozumieniem pokiwał głową, niczym na oficjalnej naradzie. – Ale jakoś sobie poradzimy. Wspólnymi siłami wyleziemy z tego dołka.

– Jasna sprawa! – gorliwie przytaknął Pawlak. – Już pan dyrektor znajdzie sposób na nasze kłopoty.

– A propos! – Walendowski wskazał znacząco na kieliszek. – W dzisiejszych, trudnych czasach konieczna jest jak najdalej idąca ingerencja dyrekcji. Proponuję brudzia, kolego Pawlak.

– To dla mnie zaszczyt! – Dyrektor ekonomiczny skwapliwie zerwał się z krzesła i napelniwszy opróżnione przed chwilą kieliszki ruszył dookoła stołu na spotkanie naczelnemu. – Sam nigdy nie śmiałybym zaproponować, ale skoro sam pan dyrektor...

Przełknęli wódkę i zgodnie z tradycją ucałowali się z dubeltówki.

– Franciszek.

– Benedykt.

– A nasz techniczny i kadrowiec też chyba nie od macochy. – Walendowski postanowił za jednym zamachem przejść na ty również z Grzebieniowskim i Trepanowiczem. – No, koleczy, dajcie pyska!

– Chłopcy się całują, będzie padać! – zachichotała Agnieszka.

– O przepraszam! – żywo zaoponował Demski. – To porzekadło dotyczy wyłącznie płci pięknej.

– Właśnie, że mężczyzn! – W sukurs Demskiej nieoczekiwanie przyszła Danuta. – A zresztą żona ma zawsze rację. Czyżbyś zapomniał o tym, Teodoru?

– Co za różnica? – zbagatelizował sprawę Franciszek. – Lepiej niech i panie wypiją. Na zgodę i pogodę!

Szkló brzęczało coraz głośniejsze i częściej, miejsce opróżnionych butelek raz po raz zajmowały pełne, a humory dopisywały wszystkim, jak rzadko. Na brak apetytu również nikt nie narzekał. Nie minęły nawet trzy kwadransy, kiedy z półmisków i salaterek znikło niemal wszystko. Widząc, co się święci, Grzebieniowska zawczasu opuściła towarzystwo. Do kuchni wymknęła się także rudowłosa sekretarka Pawlaka i w chwili gdy zaczynało już brakować zakąsek obie wkroczyły triumfalnie z gorącą dziczyzną.

– Komu comber z zająca, a komu sarni udziec? – Pytanie Danuty pozornie kierowane do wszystkich, w rzeczywistości miało konkretnego adresata. – Panie dyrektorze, pan wybiera pierwszy.

– Najpierw udziec, a potem comber. – Walendowski nie byłby sobą, gdyby zrezygnował choć z jednej potrawy. – Zamawiam podwójne porcje.

– Dla pana mogą być nawet potrójne.

– Nie odmówię, nie odmówię! – zarechotał rubasznie. – Przepadam za dziczyzną, a dawno już nie jadłem zająca ani sarny.

– I ty to mówisz? – zdziwił się Demski. – Taki stary myśliwy?

– Dawne dzieje – nie bez żalu westchnął naczelny. – Było, minęło.

– Nie żartuj?

– Z górą od pięciu lat nie miałem strzelby w rękę.

– Najwyższy czas znowu powąchać prochu – zachęcił Teodor. – Zwłaszcza że akurat teraz sezon na zające, sarny i jelenie, nie mówiąc już o dzikach.

– No właśnie – podchwycił Pawlak. – Nasze koło łowieckie ma nie najgorszy teren. Mógłbyś, Franciszku, do nas przystać.

– Sam nie wiem. – Walendowski jak gdyby się zawahał. – Myślistwo to piękny sport, ale po takiej przerwie...

– W przyszłą sobotę jedziemy na zające – kusił Demski. – Transport zapewniony, a leśniczy zorganizuje nagonkę, jak się patrzy.

– W zeszłym roku każdy z nas miał na rozkładzie przynajmniej po cztery koty.

– Wieczorkiem zorganizujemy bigosik i po kusztyczku jakiejś gorzały.

– Jadę! – Naczelny nie wahał się dłużej. – Przekonaliście mnie.

– W takim razie, połamania luf! – Teodor podniósł w górę kieliszek. – Zobaczysz, Franciszku, że nie pożałujesz.

– Za polowanie!

Wypili i Walendowski zabrał się z apetytem do nałożonego mu przez Grzebieniowską sarniego udźca. Był w coraz lepszym nastroju i to nie tylko z powodu znacznej liczby opróżnionych kieliszków. Podwładni z Zakładów Elektronicznych zgotowali mu bardzo przyzwoite przyjęcie, co zwiastowało błyskawiczne wejście w układy i dobrą współpracę.

– A fe, zaniedbuje mnie pan! – Demska kokieteryjnie uśmiechnęła się do Franciszka Walendowskiego. – Ja rozumiem, że droga do męskiego serca prowadzi przez żołądek, ale żeby tak całkiem zostawić mnie własnemu losowi...

– Mea culpa! – Naczelnny iście teatralnym gestem uderzył się w piersi. – Nie mam nic na swoją obronę. Proszę wyznaczyć mi surową karę.

– Jeśli obieca pan poprawę, pańska wina zostanie odpuszczona.

– Jest pani cudowna, pani Agnieszko! – Z namaszczeniem pocałował ją w obie ręce. – Gdzie ten Teodor znalazł taki skarb?

Tłusta broda Walendowskiego i szerokie usta aż błyszczały od nie otartego sosu. Demska odruchowo cofnęła ręce, na jej twarzy pojawił się jednak nawet cień dezaprobaty.

– Panie dyrektorze! – filuternie pogroziła mu palcem. – Tak przy wszystkich? Przy mężu?!

– Teodor nic nie widzi. – Walendowskiego nie zbiło to z tropu. – A póki co, pani zdrowie!

– Zdrowie pięknych pań! – podchwycił Grzebieniowski. – Po raz pierwszy...

– Nieustające...

– A może byśmy tak się trochę ruszyli? – Agnieszka zachęcająco mrugnęła do naczelnego. – Odrobina tańca nikomu nie zaszkodzi.

Nim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, wstała od stołu i moment później z umieszczonego pod oknem magnetofonu popłynęła nastrojowa melodia znanego przeboju. Sekretarka Pawlaka radośnie klasnęła w dłonie, ale poza nią nikt jakoś nie zareagował na propozycję Demskiej. Walendowski skończywszy sarninę, zabrał się z równą gorliwością za zającą. Grzebieniowski z Trepanowiczem wszczęli spór na tematy zawodowe, a Teodor, korzystając ze zwolnionego miejsca małżonki, przysiadł koło nowego szefa.

– Wiesz, Franciszku, coś mi do głowy przyszło – zagadnął, ścisząc głos.

– Mianowicie? – Naczelnny wepchnął do ust kęs dziczyzny.

– Czasy mamy niepewne, człowiek na człowieka wilkiem patrzy, a w dodatku góra ciągle zwala nam na kark jak nie grupy operacyjne, to ekstra kontrole albo innego diabła w tym stylu.

– Cóż poradzić!

– Dobrze by było znaleźć kogoś w aparacie ścigania.

– Ameryki, Teoś, nie odkryłeś, ale sprawa nie jest taka prosta. Byle dzielnicowy wiele ci nie pomoże, a ludzie na odpowiednich stanowiskach nie chcą teraz z nikim wchodzić w układy.

– A gdyby spróbować odgrzebać dawną znajomość?

– Masz kogoś na podorzędziu? – Walendowski wyraźnie się ożywił.

– Ja nie mam, ale ty mógłbyś mieć.

– Nie żartuj! – zachnął się Franciszek. – Przecież, u diabła, nie przeoczyłbym tak cennej znajomości.

– Pamiętasz Janka Mikulskiego! – Demski ani myślał dać za wygraną.

– Tego zetempowca? – Naczelnny uśmiechnął się z lekkim rozrzewnieniem. – Swego czasu przewróciliśmy niejedną butelkę. To był naprawdę równy gość, konie z nim kraść...

Ale co Janek mógł mieć wspólnego z milicją albo prokuraturą? – wrócił do tematu. – A poza tym minęło już dobrych dziesięć lat, jak byłem na jego pogrzebie.

– Mikulski miał syna.

– Nawet dwóch – sprostował Walendowski. – Starszy siedzi w jakiejś centrali handlu zagranicznego...

– A młodszy jest prokuratorem – triumfalnie dopowiedział księgowy.

– Skąd wiesz? – Franciszek aż podskoczył.

– Po wprowadzeniu stanu wojennego trochę się u nas w zakładzie zakotłowało. Koniec końców jeden z pracowników, niejaki Szeleźniak, poszedł siedzieć z dekretu. Sprawę robił mu prokurator Andrzej Mikulski.

– Jesteś pewien, że był to właśnie syn naszego Jasia?

– Na sto procent.

– Więc czemu sam nie nawiązałeś z nim kontaktu?

– Było mi jakoś nieporęcznie. Facet ledwie mnie sobie przypomniał, a poza tym moje stosunki z jego ojcem nigdy nie należały do najściślejszych. Ty, to co innego. Przy budowie trasy „W-Z” jedliście ze starym Mikulskim z jednej miski...

– Trzeba koniecznie zaaranżować spotkanie. – Walendowski już się zdecydował. – Wystarczy byle jaki pretekst. Ot, chociażby niech Jacek Trepanowicz zatelefonuje do Mikulskiego, czy tego waszego Szeleźniaka objęła amnestia, albo w jakiejś podobnej sprawie. Od słowa do słowa i prokurator sam wpadnie w nasze objęcia.

– Już ty sobie z tym poradzisz.

– Mam nadzieję – przytaknął naczelny, sięgając po kieliszek. – No, wypijmy za dobry pomysł. A swoją drogą masz, Teoś, łeb nie od parady.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI